Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 16.
dnia 20. Marca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

Zanim panowie Grabowski i Stern trzymając w rękach gwardyjskie pałasze, które pan Gozdawa kazał dobrze wyostrzyć kowalowi, w oczy sobie zajrzą, musimy jeszcze na chwilę zaglądnąć do kancelarji właściciela Ludaczowa.

W ciągu kilku tygodni szczególna w tym człowieku zmiana nastąpiła. Gdy garbus wspomniał mu pierwszy raz o pojedynku, pamiętamy jak skoczył; później z tą myślą jakoś się oswoił, a teraz na dwa dni przed pojedynkiem już całkiem jest spokojny. Pan Gozdawa wracając od starosty zajechał do niego aby mu powiedzieć, gdzie i kiedy starcie nastąpi; Stern podziękował, dał słowo, że rzecz całą w tajemnicy zachowa i przyrzekł stawić się o godzinie oznaczonej.

Chociaż wynik wszelkiej walki jest wątpliwy, Stern ani testamentu nie pisze, ani nadzwyczajnych dyspozycji nie wydaje. Sprawami swemi jak dawniej się zajmuje i z rodziny jego nikt się nie domyśla, jakie mu grozi niebezpieczeństwo.

Pan Gozdawa wiedząc, że jego kuzynek rąbie się doskonale, chciał Sterna trochę poduczyć w robieniu pałaszem, żeby w najgorszym razie przynajmniej głowę umiał sobie zasłonić; Stern atoli, złożywszy się kilka razy, powiedział, że już dosyć umie. Dziwił się pan Gozdawa i w duchu go żałował, lecz głośno żadnych uwag nie robił. Tylko sobie myślał:

— Patrzcie mosterdzieju jaka z niego sztuka zuchwała! Ani byłbym dał wiarę, że taki odważny. Lecz mimo to bardzo mi go żal... Zygmunt sercuńciu jeżeli nie nos, to przynajmniej jedno ucho mu obetnie. Potem mosterdzieju będzie jak Malchus wyglądał!

Stern siedząc przy sekretarzu, nie o pojedynku teraz myślał; on co innego miał w głowie. Przed godziną, z młyna do dworu wracając, obrał drogę dalszą przez ogród. Zbliżywszy się do oranżer[ji], która jak wiadomo w gruzach leżała, usłysza[ł] nieopodal dwa głosy, jeden niewieści, drugi męski. Stanąwszy za grubą topolą, wyciągnął głowę jak żóraw i zaczął słuchać. To Róża rozmawiała z garbusem. Siedząc przy drodze na ławce kamiennej, ostatniej, która świetniejsze tego ogrodu czasy pamiętała, odpowiadała dość sucho na słowa garbusa, który przed nią stojąc widocznie chciał ją o prawdzie czegoś przekonać. Poznać to było z ruchu jego rąk i twarzy wyrazu. Wątku rozmowy Stern nie mógł uchwycić, lecz z luźnych słów tyle odgadł, że garbus w jego córce namiętnie się rozkochał.

— *A soj?!* — szepnął do siebie. W oczach stanął mu szwagier, w uszach zabrzmiały jak dzwon jego słowa: — Strzeż córki, żeby się w goimie nie zakochała! — Zgrzytnął zębami i już prawą nogę naprzód wysunął, żeby z ukrycia wyskoczyć i na garbusa się rzucić, gdy wzrok jego padł na tę postać nędzną i potworną. — Moja córka miała by się kochać w takiej małpie!? — rzekł palec do czoła przykładając i zamiast pójść ku ławce, wrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

W kilka minut, okrążywszy dom z drugiej strony, znalazł się w swojej kancelarji, zkąd Marysię wysłał niezwłocznie po garbusa.

Nie długo trwało a wszedł Henryk Dobrzyński.

— Przykro mi panie sekretarzu — Stern przemówił — że muszę panu posadę wypowiedzieć.

— Jakto, wielmożny pan mnie oddala? — zapytał garbus bledniejąc.

— Czasy teraz ciężkie... Jak pan wie, z powodu epidemji młyn tego lata szedł mi bardzo źle, prócz tego miałem w polu nieurodzaj i wiele innych wydatków... Pan jesteś dla mnie za drogi.

— Pięćdziesiąt guldenów miesięcznie, wszak to tak mało!

— Łatwo mówić że mało... Zobaczymy jednak czy pan prędko zarobisz tyle pieniędzy.

— Służyłem tak wiernie!

— Za pieniądze musi być każdy wierny, inaczej marsz!

— Na wszystko zaklinam wielmożnego pana, byś mi tej krzywdy nie wyrządzał!

— Jaka to krzywda? Jakem potrzebował, tom pana trzymał i płacił, a teraz niech sobie pan idzie.

Garbus bardziej się już poniżył, niżby to był kiedykolwiek dawniej przypuścił. Język jego nie umiał więcej próźb ni zaklęć. Ponuro tedy przed siebie zapatrzony, czekał końca. Stern wytrzymawszy dobrą chwilę, która biednemu sekretarzowi starczyła za wiek cały, rzekł:

— Powiedziałem, że tylko złe interesa nakazują mi pana oddalić... gdybyś pan jednak chciał być za tańsze pieniądze...

— A ileż wielmożny pan zamierza płacić?

— Najwięcej trzydzieści guldenów i to bez pokoju, który pan masz w oficynie. Za niego musiałbym dostać najmniej trzy guldeny, a opał takżeby teraz do pana należał.

— Niech więc i tak będzie, przyjmuję te nowe warunki.

Garbus wyszedł uradowany, że nie będzie musiał porzucać miejsca, w którem były wszystkie jego myśli i marzenia, Stern zaś ujrzawszy jak drzwi za nim się zamknęły, zaśmiał się śmiechem syczącym i mruknął do siebie:

— Głupi goim! On taki idealny, że w końcu gotów nawet z głodu umrzeć.

Nazajutrz o godzinie 4tej z południa pan Gozdawa przyjechał po Sterna. Jako dobrze obznajomiony z obowiązkami sekundanta, chciał go sam przywieźć: zresztą kto wie, czy nie przyszła mu na myśl obawa, by Stern nie zwinął chorągiewki i w ostatniej chwili nie cofnął się przed pojedynkiem. Jeźli taka wątpliwość zaprzątała mu głowę, musiała pierzchnąć na widok klienta, który z największą radością usiadł obok niego i do Starejwsi pojechał.

Starosta był już we dworze. Ryszard jak najlepiej wszystko urządził. Służbę rozesłał w strony rozmaite, przyjaciół na ten dzień w oficynach pomieścił, w sali jadalnej, gdzie zapaśnicy mieli się potykać, kazał położyć duży dywan, który zakrył całą posadzkę. Cel, jaki przez to chciał osiągnąć, był dwojaki: najpierw dywan miał utrudniać ślizganie, które przy pojedynku może być czasem fatalne, następnie krew z ran ciekąca powinna była zginąć bez śladu. Po rozprawie łatwo było dywan skręcić i gdziekolwiek schować, gdy przeciwnie krew na posadzce rozlaną musiałaby służba ścierać... a tego przedewszystkiem należało unikać.

W milczeniu weszli panowie do sali, z kąd wszystkie sprzęty wyniesiono. Niedługo trwało a ostrza dwóch długich pałaszów były ku dwom głowom skierowane. Starosta jakiś czas mierzył groźno swego przeciwnika, którego pałasz drgał bezustannie i o jego broń uderzał, skutkiem czego w sali słychać było nieregularne dzwonienie; potem folgując krwi gorącej, która mu spokojnie na jednem miejscu stać nie pozwalała, szybko prawą nogą naprzód się wysunął, przyczem głośno tupnął i pałaszem tak machnął, jakby przeciwnika zamierzał w pół przeciąć. W tej samej sekundzie, Sternowi pałasz z ręki wypadł i on cofając się ku swemu sekundantowi, zawołał po niemiecku:

— *Ich bin schon desarmirt!*

Starosta drwiąco się uśmiechnął. Ryszard, który jakiś czas stał namyślając się co uczynić, podszedł teraz do Sterna i przemówił:

— Ponieważ nie myśmy wyzywali, więc śmiem zapytać, czy masz pan już satysfakcję?

— Pewnie że mam!...

Panu Gozdawie przeciągnęła się twarz niezmiernie. Czyby to znaczyło, że i on zaczynał się rozczarowywać?

ROZDZIAŁ XII.

BIEDNA!

Chociaż w czasach ostatnich Ryszard miał wiele zajęć różnorodnych, nie zapominał o Ekonomówce, której samotny mieszkaniec powoli zdrowie odzyskiwał. Ten ujrzawszy go pierwszy raz przy swojem łożu, przypatrywał mu się długo i uważnie, a gdy tegoż dnia po południu i Rózia przyszła, ledwie

ukrył wrażenie, jakie jej widok na nim sprawił. Prawdopodobnie nie przypuszczał, żeby do jego samotni mogli zabłądzić ludzie tak piękni i dobrze wychowani. O nic ich jednak nie pytał, i udając jakoby jeszcze nie wiedział, co się z nim dzieje, napowrót upadł na posłanie.

— Bóg wam to wynagrodzi i Matka przenajświętsza — mówiła Krystyna, całując po rękach Rózię i lekarza — gdyby nie panienka i nie pan konsyljarz, moje biedne panisko już by się było dawno minęło. A teraz nieuroku i oczy ma czyste, i apetyt, niech Bogu będzie niewymowne, przychodzi. Dziś rano byłby zjadł cały talerz rosołu z kury, ale przypomniałam sobie co pan konsyljarz mówił i dałam mu tylko pół talerza... Biedne panisko aż się trzęsło do reszty... Jaka to łaska boska że mu właśnie teraz lepiej... może i ja będę mogła trochę wypocząć, bo mnie coś głowa pobolewa. Nie dziwota, człowiek tyle nocy oka nie zmróżył!

Ryszard uważał to za rzecz naturalną i dla tego nie przypatrywał się Krystynie. Dopiero trzeciego dnia zobaczywszy, że na nogach się chwieje i na twarzy bardzo się zmieniła, wziął ją za rękę. Puls był przyspieszony, gorączkowy. Lekko pobladł i rzekł:

— Moja dobra kobieto idźcie zaraz się położyć. Bardzo źle, żeście mi sami nie powiedzieli, iż wam coś brakuje.

— Chciałam proszę pana konsyljarza, ale jakem sobie pomyślała, że tu nie będzie miał kto posłużyć, bałam się kłaść... Teraz jednak widzę że trzeba... głowa mi ciężka, w oczach ciemno, w kościskach aż boli tak trzeszczy. Kto wie czy to mnie już mój stary do siebie nie woła.

Krystyna powlokła się do kuchni. Ryszard zaś obracając się do Róży, która była właśnie w pokoju, rzekł głosem zniżonym:

— Tyfus!

Tegoż jeszcze dnia Róża przysłała ze wsi kilkunastoletnią dziewczynkę, aby ta na Ekonomówce wyręczała chorą Krystynę.

Jakkolwiek choroba tej kobiety zmartwiła naszych przyjaciół, z drugiej strony to ich przynajmniej pocieszało, że odtąd przy łożu wspólnego pacjenta mogli się znowu jak dawniej widywać. Przed kilku dniami, Róża widząc, jak szybko pierwszy chory zdrowie odzyskiwał, zaczynała już myśleć o przyszłości, i martwić się w duszy, teraz bowiem wraz z Ekonomówką należało pożegnać i pięknego młodzieńca, może na długo, może na zawsze! Że jej ta rozłąka wielką przykrość sprawi, o tem niestety była aż nadto przekonana. Wszak pamiętała, jak nieznośnie długim wydał jej się ten czas, który Ryszard w stolicy spędził. Mimo iż wiedziała, że wróci za dni kilka, boć jej to powiedział odjeżdżając, z największem upragnieniem wyglądała chwili, kiedy go zobaczy i nigdy z taką radością jak wtedy nie żegnała zawsze słońca zachodzącego.

— Chwała Bogu, że znowu jeden dzień minął — mawiała do siebie — teraz bliżej do jego powrotu!

Co do Ryszarda, ten także może więcej, niż o wszystkiem innem, myślał o pięknej dziewicy, tak dalece, że nawet wśród zajęć największych, wśród interesów i zgryzot, których niestety miał dosyć ostatniemi czasy, jej cudowna twarzyczka ciągle mu w oczach stawała, a brylantowy blask jej źrenic, rozjaśniał mu chmurny życia widnokrąg. Czyż by to miłość była? — często się zapytywał i natychmiast myśl tę odtrącał. Bo czyż mógł się zakochać w osobie, której bliżej nie znał, o której tylko wiedział że jest piękną, młodą, roztropną i dobrze wychowaną, lecz której nazwiska dotąd nie słyszał? Ryszard uważał się z dawien dawna za człowieka pozytywnego, i wszelkich starań dokładał, żeby zawsze i wszędzie takim się okazywać. Chociaż matka żądała od niego tylko jednego doktoratu, ukończywszy filozofję poszedł na medycynę jedynie dla tego, że, jak to swoim przyjaciołom opowiadał, postanowił ze swego charakteru wykorzenić nawet ślady sentymentalizmu, z którym jako Polak musiał się urodzić.

— Zbyt długo żyliśmy uczuciem — często powtarzał — teraz powinniśmy żyć rozumem...

I wierny temu hasłu studjował medycynę, mimo że wstręt w nim budziła, i nie cofnął się z drogi obranej, chociaż często na pół omdlonego wynosili go z sali anatomji. I zapewne, aby na każdym kroku składać dowody swego pozytywizmu, ukończywszy medycynę leczył potem wszystkich bezpłatnie, biednym zaś chorym w dodatku jeszcze lekarstwa kupował, a z ich rodzinami dzielił się groszem ostatnim.

Tak samo zachowywał się teraz w obec Róży. Myśl, żeby ją, osobę całkiem nieznaną, mógł pokochać, odtrącał z oburzeniem, a równocześnie, jak tylko do Starejwsi wrócił, pospieszył najpierw

na Ekonomówkę, a nie zastawszy jej tamże pobiegł do kładki. Gdy i tu jej nie zobaczył, wrócił bardzo smutny, i takim, jak pamiętamy, przywitał go u siebie starosta.

Był zimny i pozytywny, a mimo to dotąd nie pytał, jak się Róża nazywa i gdzie jej rodzice mieszkają, romantyczność bowiem, która ich otaczała, miała dlań tyle uroku, że nie chciał jej zamienić na rzeczywistość choćby najpiękniejszą.

Był pozytywny w poglądach może na świat i ludzkość, jednakowoż w życiu codziennem trudno było o człowieka bardziej uczuciowego, o większego idealistę. Każde słowo, każdy krok, każdy prawie czyn jego znamionował istotę sercem żyjącą, boć go takim matka pod swojem sercem wynosiła. Wierzymy, że gdyby mógł wytyczyć drogę ludzkości, to tę, którą by mu rozum wskazał jako dobrą, nie wahałby się poprowadzić nawet przez krwi morze, boć i Chrystus kazał dążyć do zbawienia przez łzy, krew i stosy ofiarne, lecz za to dla tych, którzy go otaczali, a których poznał jako ludzi zacnych, był dobry, łagodny i serdeczny. Jeźli w kim, to w Ryszardzie rozum i serce zdawały się harmonijnie równoważyć. Rozumem kierował się też w szerszem życiu na zewnątrz, za sercem szedł w życiu wewnętrznem i rodzinnem. Ale chociaż takim był nie innym, on sam uważał się zawsze za pozytywistę bardzo zimnego!

I znowu widywali się na Ekonomówce, znowu on ją do kładki odprowadzał i jak dawniej rozmawiali o wszystkiem i o niczem. On gdy ją widział, był wesół i swobodny; przeciwnie ona, od owej pamiętnej sceny na kładce, nie była już tak swobodną jak dawniej. Idąc, rzadko teraz ku niemu oczy podnosiła, twarzyczka często bladła, czasem brakowało jej odpowiedzi a częściej zapytania. Wyglądała jak osoba, która się boi, by oko bystre w głąb jej serca nie zajrzało.

Nieraz do domu wróciwszy, zarzekała się że więcej na Ekonomówkę nie pójdzie, tymczasem ledwie nowe słońce zaświeciło, z niepokojem gorączkowym wyglądała 10tej godziny. I jakby siłą niewidzialną parta, szła tam codzień rano i popołudniu, wieczór zaś najczęściej płakała, a przestawszy coś notowała w swoim pamiętniku. Ojciec tego nie widywał; za to matka nieraz drzwi otworzywszy długo głową kręciła, i dopiero jakby po namyśle wołała:

— *Roise! kim sugen bruche.*

Głos matki wzywający ją na modlitwę, był zawsze zimną wodą, która jej rozmarzone serce oblewała.

Tajemniczy mieszkaniec Ekonomówki miał się już tak dobrze, że o własnych siłach przed dom wychodził. Aniołom opiekuńczym, którzy go ocalili, nie wiedział jak wdzięczność swoją wyrazić. Rózi obie rączki kilkakrotnie obcałował, a gdy mu Ryszard rękę podał, w pierwszym uniesieniu chciał i ją pocałować. Młody człowiek ledwie miał czas ją cofnąć. Rekonwalescent nie nalegał, tylko wymownem spojrzeniem za życie mu podziękował.

Był to człowiek w wieku między czterdziestką a pięćdziesiątką, na głowie dobrze już szpakowaty, chociaż w czarnej i długiej brodzie nie miał jeszcze ani jednego włoska białego; o ile się zdawało, należał do średnich warstw społecznych. Nie był to ani wytworniś, ani prostak, coś w rodzaju naszych dawnych szlachciców zagrodowych. Mimo ciężkiej choroby, którą przebył, trzymał się prosto, prawie sztywnie i toby się zdawało wskazywać, że za młodszych lat w wojsku służył. Była w nim jeszcze jedna rzecz, która Ryszarda uderzyła. Oto kilka razy w rozmowie, wyrwały mu się przekleństwa rossyjskie, których w Galicji nikt nie używa. Widocznie ten człowiek z za kordonu pochodził, ale ponieważ po r. 1863 bardzo wielu mieszkańców z Kongresówki i Ziem zabranych w Galicji się osiedliło, więc Ryszard nie zwrócił i na to szczególniejszej uwagi. Zresztą musimy i to dodać, że naszego przyjaciela nierównie więcej obchodziła teraz chora Krystyna niż jej chlebodawca, który Bogu dzięki był już zdrów jak ryba; przy niej też Ryszard najdłużej wysiadywał, a dla nieznajomego miał najczęściej tylko stereotypowe słowa przywitania i pożegnania.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W chwili skonu.

POWIEŚĆ FRANCUSKA Z XVII. WIEKU.

Przekład Heleny Wilczyńskiej.

I.

W wigilją św. Jana, w roku 1649, konsulowie miasta *Aix* wyszli w paradzie, by starodawnym zwyczajem, zapalić własną ręką ogromną piramidę, ułożoną misternie z drew suchych, gałęzi i słomy, z wierzchem ozdobionym wspaniałą flagą, o barwach narodowych. Wkrótce języki płomieniste, z sykiem i trzaskiem posuwały się wyżej i wyżej; a cały wielki plac, nazwany *place des Precheurs*, (plac Kaznodziei) oświetlała łuna czerwonawa, rysując fantastycznie na ciemnem tle nieba wierzchołki domów wysokich w stylu gotyckim budowanych, i przezierając przez gęste i rozłożyste konary wiązów stuletnich, któremi cały plac był obsadzony. Gdy już płomienie buchały całą siłą, jak z krateru wulkanu, tłum zebrany, zaczął bić w dłonie na znak uciechy, a zrobiwszy łańcuch z rąk tysiąca, tańczył w około ogniska *Farandolę*, coraz wścieklej i zawzięciej. Koło zwijało się fantastycznie, ni to cielsko węża olbrzymiego; czasem tylko, gdy ręka złośliwa a niewidoma, rzuciła tańczącym pod nogi petardę z trzaskiem pękającą, rozskakiwali się z krzykiem i złorzeczeniem, by znowu za chwilę złączyć łańcuch tańczący.

Około godziny dziesiątej w nocy, gdy flaga palić się zaczęła, konsulowie się oddalili, i wraz z nimi zabrali się wszyscy mieszkańcy starsi i stateczniejsi, zostawiając miejsce wolne młodzieży, której władza municypalna pozwalała tej nocy na igraszkę dość niebezpieczną, na wojnę niby to na żarty prowadzoną, z której jednak niejeden wychodził z twarzą osmaloną, włosami opalonemi i ciężko pokaleczony, a zdarzały się nawet śmierci wypadki.

To też wieczór przed św. Janem, wszystkie okna w kamienicach wcześnie okiennicami barykadowano, a drzwi na klucz i rygle zamykano, by zabezpieczyć się od napaści zgrai wesołej i rozkiełzanej.

Na placu uszykowały się dwie falangi. Z jednej strony żołnierze i oficerowie z pułku *royal-comtois* — z drugiej uczniowie prawa, klerycy, a nawet starsi studenci z *Auli* uniwersyteckiej. Motłoch uliczny zrejterował po pod arkady domów, lub w najbliższe ulice. Z tamtąd, jak starożytni rzymianie gladjatorom w cyrku, bił głośne *brava*, i ryczał z radości, gdy silniejszy pocisk, wprawną ręką rzucony, robił dywersję w partji przeciwnej, i zmuszał do odwrotu, którego z zapaśników. Pies wyje żałośnie nad bratem zabitym, a człowiek dzikszy od zwierzęcia, śmieje się i przyklaskuje, widząc jak bliźni jego padają ranni, a choćby i zabici.

Wśród ogólnego ruchu i zamięszania, odznaczała się postać nieruchoma mężczyzny wzrostu słusznego, który oparty o drzewo stał na przeciw pałacu pierwszego prezydenta parlamentu, cały owinięty płaszczem czarnym, bardzo długim i przestronym, w kapeluszu o szerokich krysach, mocno na oczy naciśniętym. Wpatrywał się uporczywie w okna pałacu, i zdawał się zresztą głuchym i ślepym, na to, co się w koło niego działo.

— Ejże, panie Loubet! — krzyknął mu nad uchem w przelocie jeden z prawników — jesteś bezbronny. Strzeż się mecenasie.

Zagadnięty obrócił się obojętnie.

— Bravo! bravo! panie Marjusie — odrzekł głosem spokojnym. — Pułk na odchodnem nie na żarty żegna się z wami. Ale i wy się tęgo trzymacie.

— Ho! ho! poosmalamy porządnie wąsiki tym królewskim paniczykom! — młodzieniec potrząsł tryumfująco workiem pełnym jeszcze rakiet i petard. — Lecz na miły Bóg usuń się pan, boć i ty ryzykujesz, że cię która z naszych rakiet pocałuje z nienacka, a to całus ognisty wprawdzie, jak żaden, alę djabelnie nieprzyjemny. Tu gorąco między nami.

— Oh! — adwokat Loubet wzruszył niedbale ramionami. — Ta prochu odrobina! Jestem zresztą pod dobrą zasłoną. — I płaszcz aż pod same oczy zasunął.

— Prawda, prawda! — Marjus Magis, lubiący frazesa głośno brzmiące, zawołał emfatycznie. — Tarcza, pancerz, namiot cały! ten pański płaszcz! Mógłbyś, jak ten jakiś święty, oddać z niego połowę, a jeszcze by ci się dosyć zostało.

— Tak, tylko za ciężki i za gorący na upał dzisiejszy. Wracam też do domu, by się z niego uwolnić. Życzę szczęścia i powodzenia na resztę nocy panie Marjusie.

Skinął ręką przyjacielsko na pożegnanie, i zwrócił się ku ulicy *Portalet*, gdzie stał dom narożny od dawna do rodziny Loubet należący. Główna brama od placu, była raz na zawsze, jakby w czasach wojennych zabarykadowana; adwokat wszedł więc w ulicę, kluczem z kieszeni wyjętym furtkę boczną otwierając.

Wchodziło się nią do wązkiej sionki na dziedziniec prowadzącej. Po lewej ręce od wchodu, wiodły drzwi do kancelarji pana Loubet; po prawej do kuchni i reszty pomieszkania na dole, które właściciele sami zamieszkiwali, inne piątra lokatorom wypuszczając.

Gdy adwokat furtkę zamykał, petarda aż w ulicę zabłąkana, z trzaskiem pękła na progu.

— Co też to za głupia, i hałaśliwa zabawa! — mruknął wchodząc do kancelarji.

Adwokaci owych czasów, nie byli to jeszcze wielcy panowie za dni naszych.

Nie mieszkali w pałacach, nie jeździli ekwipażami, a kucharka i dziewczyna do posługi, całemu domowi wystarczała.

Duża izba kwadratowa, w której nasz mecenas przyjmował liczną swoją i bardzo arystokratyczną klientelę, nader też skromnie wyglądała.

Po prostu wapnem wybielona, za jedyne umeblowanie miała ławki czarną skórą obciągnięte; wzdłuż ścian wisiały półki na czarno lakierowane, a na nich kilkaset tomów grubych, w pargamin oprawnych; duże biurko dębowe, całkiem prostej roboty stało pod oknem, rozmaitemi papierami zarzucone, na niem jedynym sprzętem był kałamarz okazały i tradycyjny, w którym już trzecie pokolenie mecenasów Loubet, maczało pióro, posyłając w świat rozumne dokumenta, i doskonałe repliki i dupliki, zdumiewające nieraz sędziów, swoją zwięzłością i treściwością.

Jakób Loubet w niczem nie odstąpił od tradycyji ojców swoich. Umysł jego był równie światły i trzeźwy, a charakter prawy i nieugięty. Powszechnie go też szanowano, i tak panowie jak mieszczaństwo, chętnie mu swoje sprawy powierzali.

Zdjąwszy płaszcz, usiadł przed biurkiem w jedynym fotelu, wybitym czerwonym marokinem, przerzucił pliki papierów przed nim najbliżej leżące, wyjął czysty arkusz ze szuflady, i umaczał pióro w tradycyjnym kałamarzu.

Tego jednak wieczora, coś zaciemniało zwykłą jasność i trzeźwość jego poglądów. Myślał i myślał, atrament na piórze zasychał, a arkusz papieru leżał przed nim w swojej białości niepokalanej.

Znużył się wreszcie tą walką daremną, między chęcią pracowania, a jakąś ociężałością umysłu, która go do pracy niezdolnym czyniła. Odrzucił pióro, przesunął rękę przez gęste kędziory, które w tył zarzucił, a oparłszy się wygodniej w fotelu, pogrążył się w głębokiej zadumie. Powodził swojemi dużemi, szafirowemi oczyma bezmyślnie po księgach i fascykułach zapylonych, uśmiechając się do nich, a raczej do jakiegoś lubego wspomnienia, które wyłącznie umysł jego zajmowało. Od czasu do czasu, ból ukryty ściągał mu rysy kurczowo, ściskał wtedy głowę w obu dłoniach szepcąc do siebie:

— Boże zmiłuj się nademną! Co za myśli!... gdzież one mnię zaprowadzą, gdzie? Istne szaleństwo im się oddawać!...

I znowu próbował odczytywać leżące przed nim dokumenta, znowu chwytał za pióro... lecz myśl pierwotna wracała wytrwale, uporczywie, jakby rodzaj fiksacji, i adwokat popadał bezwiednie w dawną zadumę.

— Kuzynku Jakóbie! — zabrzmiał głos słodki pode drzwiami. — Czekamy z kolacją. Czy przyjdziesz?

Jak lunatyk ze snu nagle zbudzony, adwokat drgnął całem ciałem i zrywając się na równe nogi, zaczął prędko papiery na biurku porządkować.

— Ciocia cię prosić kazała — ten sam głosik młody i wdzięczny odezwał się powtórnie z nieśmiałością. — Tak już późno...

— Zaraz, natychmiast — odpowiedział, biorąc drżącą ręką lampę ze stołu.

Obyczaje w rodzinie Loubet, były dotąd patryarchalne, a mimo wielkiej zamożności, na codzień życie ich było nader skromne.

Gdy gości nie było, rodzina w kuchni po prostu jadała, a przy ich stole było miejsce i dla starej kucharki, Genowefy, która w domu przeszło trzydzieści lat służyła. Wielki, podwójny kredens z drzewa orzechowego, rzeźbiony misternie, uginał się pod ciężarem sreber, szkła i porcelany, a jednak jedli zwykle na fajansie, widelcami, i nożami w róg oprawionemi. Jedynym przepychem, którego sobie pozwalali, była czystość wzorowa. Nigdzie pyłku najmniejszego, wszystko aż do najskromniejszego garnka i rądelka, świeciło się i połyskiwało.

Matka Jakóba, chociaż wniosła mężowi w posagu trzy tysiące bitych talarów (na owe czasy znaczna suma) pracowała na współ z sługami, nie wymagała nawet tytułu „pani,“ kontentując się „imością,“ jak ją domownicy i bliżsi znajomi powszechnie nazywali. Była to kobieta najzacniejsza. Wysokich cnót, pobożności wzorowej, a nie przesadzonej; surowa dla siebie, a wybaczliwa dla innych, pełna uczynków miłosiernych, znaną była całemu miastu, które ją prawie za świętą uważało.

Katarzyna Loubet, której głos słyszeliśmy przez drzwi od kancelarji, była to daleka krewna adwokata, od lat dziecięcych sierota bez rodziców, w domu jego ojca znalazła opiekę i przytułek. Śliczna, delikatna blondynka, o płci liljowej, przeźroczystej, z dużemi, niebieskiemi oczami, była istotą tak słodką, tak cichą i potulną, że nawet najgorsi, patrząc w to anielskie oblicze, lepszymi się stawali, i nie śmieli w obec niej, nie tylko mówić, lecz nawet myśleć o rzeczach nieczystych.

Państwo Loubet, jak córkę ją pokochali. W dzień, w którym przyjęła po raz pierwszy Komunję Ś., zaręczono ją z Jakóbem, w tym roku zaś na św. Katarzynę, jej patronkę, gdy skończy lat ośmnaście, miała zostać żoną adwokata.

— Kuzynku Jakóbie — wpatrzyła się w narzeczonego z czułością niewypowiedzianą. — Za wiele piszesz, za nadto się męczysz. Twoje biedne oczy, aż poczerwieniały, od pracy natężającej. Takie zamglone jak gdybyś płakał...

— To nic — przerwał żywo adwokat. — Miałem trochę restancji, i tamtą noc całą pisałem. Dziś sobie wypocznę.

Jakób jako głowa rodziny, zasiadł na fotelu, zajmując miejsce ojca zmarłego; po prawej jego ręce usiadła matka; obok niej Kasia.

Rozłożyła machinalnie serwetę na kolanach, biorąc w rękę nóż i widelec... wtem spojrzała przed siebie, na próżne miejsce obok Jakuba, wypuściła wszystko z drżących dłoni, a zakrywszy niemi twarz, głośnym płaczem wybuchnęła.

— Przestań Kasiu — przemówił Jakób smutno, lecz stanowczo, prawie surowo. — Ta nieszczęśliwa

łez twoich nie warta. Niechaj ją Bóg ratuje... my już nic dla niej zrobić nie możemy.

— Moja biedna siostra! — łkała Kasia. — Kto wie gdzie się teraz obraca? Może cierpi, może potrzebuje pomocy, pociechy? O! gdyby choć coś się o niej dowiedzieć.

Syn i matka zamienili spojrzenie nieme, lecz wymowne smutkiem rozpaczliwym.

— Nie możesz jej widzieć dziecię drogie — ciotka ciężko westchnęła — moralnie ona dla nas umarła. Uciekła z gniazda, które ją dzieckiem przytuliło, i jak własną córkę uważało. Skoro została wieloletnią, wyrwała się z pod moich skrzydeł macierzyńskich, nie mogliśmy jej gwałtem zatrzymywać. Bóg niech ją strzeże i prowadzi! Nieszczęsny to dar, piękność, moja droga Kasiu, gdy obok niej niema chrześcijańskiej pokory, zamiłowania w cnocie, a wstrętu do grzechu.

— Nie mówmy więcej o tem — Jakób odrzekł poważnie. — Imię Klary musi być na zawsze wymazane z naszej pamięci. Nie powinno go się wymawiać w naszym uczciwym domu. Od dziś Kasiu, zapomnij żeś miała kiedy siostrę. Ja cię o to proszę usilnie — wziął ją czule za obie ręce. — Czy mi to przyrzekasz?

— Przyrzekam — ciężko westchnęła — że odtąd tylko przed Bogiem w gorącej modlitwie, będę wymawiać imię biednej Klary.

Podczas tej rozmowy, hałas nie ustawał na ulicy, przeciwnie szedł *crescendo*. Eksplozje prochu dochodziły aż do małej uliczki Portalez.

— Matko Boża! — stara kucharka pobożnie ręce złożyła. — Aby tylko nie wydarzyło się komu nieszczęście!...

— W rok śmierci króla nieboszczyka — zauważyła imość Loubet — jednemu klerykowi oczy wypalono, a drugiego zabito.

W tej chwili zgiełk zwiększył się jeszcze. Usłyszeli krzyki, śmiechy i przekleństwa. Widocznie pijana tłuszcza kogoś ścigała. Raz po raz rzucane petardy w uliczce eksplodowały, a wśród tego chaosu głosów zmięszanych można było odróżnić wołanie o pomoc jakiejś kobiety. Gwałtownie zakołatano do furtki domu państwa Loubet. Jakób wybiegł i po omacku drzwi szybko otworzył. Jakaś postać nie wielka, czarno ubrana, wślizgnęła się we drzwi jak łasiczka, sama nazad je zatrzasnęła rygle zasuwając, i spytała głosem omdlewającym:

— Czyśmy sami mecenasie?... Nikt mnię tu widzieć nie powinien...

Adwokat stał drżący, osłupiały, nie mogąc słowa przemówić. Dopiero gdy usłyszał kroki Kasi, ze światłem z kuchni wychodzącej, oprzytomniał cokolwiek, porwał za ramię postać tajemniczą, wepchnął do swojej kancelarji, i stanął na progu, jakby dla tegoż obrony. Kasia niosła właśnie jego lampę zapaloną. Wziął lampę w ręce.

— Wracaj Kasiu do mojej matki, powiedz, że nikogo nie było. Ja potrzebuję zostać sam.

Wrzaski dzikie i przeraźliwe, dotąd na ulicy nie ustawały. Jakób wszedł cicho i drzwi za sobą na klucz zamknął.

Kobieta, której dał schronienie, upadła jak martwa na fotel czerwony. Rękami drżącemi trzymała się jego poręczy; głowę naprzód wysunąwszy, zdawała się pilnie nadsłuchiwać, jakby te krzyki jeszcze jej grozić mogły. W szeroko otwartych źrenicach, w drzeniu konwulsyjnem wszystkich członków, malowało się przerażenie okropne, z szaleństwem graniczące. Jakób blady jak ściana, o którą się opierał, stał jakiś czas bez ruchu, wreszcie postąpił naprzód kilka kroków, przerywając głuche milczenie.

— Pani margrabino!... ty o tej godzinie... na ulicy... sama... Cóż się to stało w pałacu pana prezydenta?!

— Nic, nic! — mówiła z trudnością, głosem ochrypłym jakby w piersiach dotąd tchu jej brakowało. — Opowiem panu dla czego wyszłam... Nieostrożność... zapomnienie... nic więcej...

Mówiąca miała kształty tak wiotkie i drobne, że ktoby jej twarzy nie widział, mógł ją wziąć za dziecko nieletnie. Rysy jej jednak, cudownie piękne i regularne, zdradzały wiek o wiele starszy. Z tych oczu dużych, czarnych, głębokich i tajemniczych jak otchłań bezdenna, wyzierała dusza namiętna i ognista; brwi również czarne i szerokie, nadawały fizjonomji wyraz ostry i energiczny; dwie przedwczesne bruzdy wzdłuż czoła, świadczyły, że to czoło często gniew marszczył; profil czysto grecki, usta wązkie i blade, dopełniały niejako całości pięknej, lecz ponurej. Taką można sobie było wyobrażać starożytną Medeę. Włosy jasno blond nadawały tej twarzy więcej oryginalności, łagodniejszego jednak wyrazu nadać jej nie potrafiły. Była w grubej żałobie, i miała na sobie szeroką jedwabną palatynę, z kapiszonem na oczy zasuniętym.

Zrzuciła go z głowy, i znowu mówić zaczęła, poskramiając siłą woli gwałtowne wzruszenie:

— Dzięki Niebu, żem się znalazła przed pańskim domem... Jacyś ludzie pijani za mną gonili, obelgami mnię obrzucając... Nikt mnię jednak nie poznał na szczęście...

— Daruj margrabino, ale dotąd nie mogę pojąć, jak mogłaś wyjść sama w nocy.

— Ah! mój Boże! Zapomniałam na wieki, że to wigilja św. Jana! Po nieszczęściu, które mnię dziś spotkało... czyż można się dziwić, że jestem jak szalona... nieprzytomna.., że nie wiem prawie co robię... Chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza... przestać patrzeć na tego trupa, który tam leży... — ręką w stronę pałacu prezydenta wskazała. — Odwidziłam moją przyjaciółkę... potem wstąpiłam do kościoła panien Wizytek... czułam potrzebę modlitwy... pociechy... gdym z tamtąd wracała... tłumy dzikie, pijane drogę mi zastąpiły...

Mówiła głosem stłumionym, urywanym, jakby co chwila zemdleć miała.

— Pan prezydent każe wyśledzić jutro tych zuchwalców, i przykładnie ich ukarze...

— Nie, nie! — żywo przerwała. — Co też ci w głowie panie Loubet?... Byłabym zgubioną bez ratunku, gdyby mój teść, pan prezydent, dowiedział się żem, wyszła dziś wieczór... Nigdy by mi tego nie darował... Pomyśl tylko, mój mąż a jego syn jedyny na katafalku... a ja wyszłam z domu... przeciw wszelkiej etykiecie... Ale Boże! miłosierny Boże!... jak teraz wrócę?...

Z drżeniem nerwowem zaczęła ręce rozpaczliwie załamywać; przy czem palatyna z ramion jej się zsunęła. Hałas ustawał na ulicy, tłum się widocznie do domów rozchodził.

Adwokat zbliżył się do samego biórka, i o nie oparty miął w zamyśleniu papiery rozłożone. Dotąd nic nie pojmował. To jednak wiedział i rozumiał, że trzeba jakoś margrabinę do pałacu prezydenta przenieść... ale jakim sposobem?

Miał oczy spuszczone, nagle podniósł wzrok na margrabinę w prost lampy siedzącej, i krzyknął w najwyższym przerażeniu:

— Margrabino, tyś ranna! Pełno krwi na twojem ramieniu!...

Jedno ramię margrabiny, po łokieć obnażone, miało plamy czerwonawe, źle otarte; drugie w czarnej, długiej, jedwabnej mitence, było jakby we krwi umaczane. Na uwagę adwokata trupia bladość powlekła oblicze margrabiny; szybkim ruchem schowała ręce pod palatynę, krzyżując je na piersiach. Usta jej posiniałe, poruszały się, jakby mówić chciały, lecz pierś kurczowo ściśnięta, głosu z siebie wydać nie mogła.

— Rana może być głęboką; potrzebujesz pani ratunku, opatrzenia....

— Ale to nic, nic!... — margrabina przecież wyszeptać potrafiła — Uciekając przed tymi ludźmi upadłam na ostry kamień.... lekkie zadraśnięcie.... nic więcej...

Próbowała ściągnąć mokrą od krwi mitenkę, ręce jej jednak drżały tak gwałtownie, i taki ją dziwny obłęd opanował, że jedna ręka drugiej znaleźć pod mantylą nie mogła. Wreszcie ściągnęła nieszczęśliwą mitenkę i znowu szeptać zaczęła:

— Boję się tej krwi!... Tak tu duszno u pana... Ach! — głucho jęknęła — mdło mi!... serce mi pęka!...

Adwokat zbliżył się chcąc ją ratować:

— Nie trzeba, nie trzeba! — odtrąciła go gwałtownie. — Mówię ci że to proste draśnięcie... nie trwoż że się tak panie Loubet!...

— O! gdybym wiedział, kto śmiał dotknąć cię świętokradzką ręką margrabino!

Gdy to mówił, oko jego zabłysło dzikim gniewem. W tej chwili na ratuszowej wieży zegar północ zaczął wydzwaniać. Margrabina rachowała uderzenia drżąc na całem ciele:

— Muszę wracać!... muszę!... Ale jak przejść przez plac, wśród tego ognia piekielnego? Mniejsza oto gdybym żywcem spłonęła!... byle mnię nie poznano!... nie poznano!

— Co tu robić? Co robić? — sam adwokat powtarzał i rady znaleźć nie mógł. — Prawnicy i oficerewie, nie rozejdą się do dnia białego! Fatalne położenie!

— A jednak wrócić muszę przededniem! Boże! Boże! oddałabym cały majątek, stanowisko, wszystko czem jestem, byle być w tej chwili w mojej sypialni, w pałacu pana prezydenta! Tylko przez ten plac trzeba przejść, by dostać się do furtki mojego ogrodu, od której mam klucz przy sobie... tam już byłabym bezpieczną...

Jak dzikie źwierzę w klatce, biegała teraz po pokoju, z włosem rozwianym, usty sinemi, straszna, szalejąca. Adwokat skonsternowany, patrzał w ziemię ponuro. Szukał czegoś po głowie, ale żadna myśl mu nie przychodziła. W tem margrabina ruchem szybkim skoczyła ku niemu:

— Uratowanam! uratowana! — wołała w uniesieniu. — Patrzaj pan jaka jestem szczupła i maleńka, ty zaś tak olbrzymio słuszny. Pod tym płaszczem zmieścimy się oboje, i pan mnię przeniesiesz niepostrzeżenie.

Adwokat pobladł straszliwie; czuł jak się pod nim kolana uginają, a wszystka krew do serca zbiega, jakby je rozsadzić miała. Po chwili, nie mówiąc ani słowa, zarzucił płaszcz na ramiona i kapelusz włożył na głowę.

Margrabina stała tymczasem również w niemem oczekiwaniu, z rękami kurczowo zaciśniętemi. Gdy zobaczyła że Jakób zgadza się na jej propozycję, przytuliła się do niego, tak, aby jak najmniej miejsca zająć, on jednem ramieniem otoczył jej wiotką kibić i podniósł jak piórko w górę; drugą ręką płaszcz nasuwał, by ją okryć zupełnie. Udało się szczęśliwie. Margrabina znikła pod płaszczem.

Wyszedł po cichu. Kasia właśnie ze światłem przez dziedziniec przechodziła.

— Wrócę niebawem — rzucił jej na pożegnanie.

Znaleźli się na ulicy. Tu jeszcze była garstka ciekawych; na placu zaś jedynie zapaśnicy zostali. Cywilni zajęli odporne stanowisko na wysokiem podmurowaniu, na przeciw pałacu pierwszego prezydenta trybunału. Tu zwykle szubienicę ustawiano, gdy skazaniec miał na niej zawisnąć. Pułk *royal-comtois*, dzielnie atakował; nie mógł jednak przeciwników wyprzeć ze stanowiska, i nie raz ze znaczną stratą cofać się musiał. Cały plac wyglądał jak morze ogniste, tyle prochu dziś spalono.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Odsunęła ręką Abla, zobaczyła ojca, spuściła oczy, ale podniosła je znów odważnie i zawołała:

— Moja matka! moja matka!

— Uspokój się dziecko, — szepnęła panna Dumesnil. — Zapewne śniło jej się — rzekła, zwracając się do brata i ojca.

Blanka usłyszała te słowa. Zerwała się gwałtownie, wyrywając się z rąk panny Dumesnil.

— Sen — nie — to nie sen, nie śniłam, widziałam!... Moja matko! moja matko!

Krzyk był boleśny. Abel sądził, że to wizja gorączkowa, ale przerażał się nią. Spoglądał na ojca, który marszczył czoło i przygryzał usta.

— Chcę ją zobaczyć! chcę ją zobaczyć — wołała Blanka. — Ona nie odeszła, mówię wam, że nie odeszła!

Pan de Moranes ruszył się z miejsca.

— Nie — szepnęła Blanka, wychylając się z łóżka — nie ty, ojcze, nie ty!

Przestrach błyszczał w jej oczach.

Abel zawahał się, jednak ulegając siostrze, wyszedł z pokoju, przeszedł się po kurytarzu i powrócił po kilku minutach z twarzą smutną, czując, że musi siostrę zostawić w jej przypuszczeniach, które zdają się być śmiertelnemi.

— Nie widziałem nikogo! — rzekł błagalnie.

Blanka chciała powstać.

— Ja pójdę! pójdę sama!

Panna Dumesnil trzymała ją mocno i broniła jej ruszyć się.

— Puść mnie — wołała Blanka — ty nie jesteś moją matką; nic mi nie pomożesz; zabijacie mnie! Moja matko! moja matko!... ach moja matko!

Słowa te kilkakrotnie powtórzyła silnym głosem, a krzyk ten zapewne rozległ się po całym pałacu i dziedzińcu. Zmęczyła się też nim zupełnie i padła osłabiona, bezwładna na poduszki.

Pan de Moranes sądził, że umarła. Stał się strasznym z boleści i przerażenia. Pozostał tak przez dwie minuty odrętwiały, wyczekując, co powie panna Dumesnil, która trzeźwiła Blankę i nacierała jej czoło i ręce eterem.

Po chwili Blanka otworzyła oczy; pan de Moranes odetchnął, ale twarz jego pozostawała jeszcze groźną. Obrócił się do Abla.

— Zostań przy niej — powiedział — ty jej nie zabijesz!

— Poślij ojcze po doktora!

— Po doktora! czy nie słyszałeś? Nie doktor to, co ją uratować może.

— Niestety!

— Nie odbieraj mi odwagi! Powinniśmy byli tutaj przy niej pozostać. Nie opuszczaj jej! Masz racją, trzeba posłać po doktora.

Wyszedł z pokoju i zamknął drzwi za sobą. Zeszedł ze wschodów krokiem ociężałym, uderzając mocno nogą o każdy stopień, jakby chciał okazać nocy, że nie lęka się jej zasadzek. W sieni spostrzegł, że drzwi szklanne stoją otwarte. Wyszedł na ganek, zawahał się wyjść na dziedziniec, spoglądał uważnie i badawczo na okół, widział, że cisza i spokój panują przy stajni, ale usłyszał turkot powozu oddalającego się zwolna jakby z obawy, żeby nie zrobić hałasu; po chwili dopiero ów bieg stał się przyspieszonym. Uczony zamknął i zasunął sam wielkie drzwi ogrodowe i powrócił do biblioteki; nie zapalił światła, w ciemności poszukał swego fotelu, na który padł powtarzając:

— Czemu jej nie zabiłem? Ona lub ja — jedno z nas musi zniknąć!

Nie przesadzam, gdy kreślę owo podobieństwo myśli u obojga małżonków.

Zdaje mi się to być zupełnie naturalnem, że pan i pani de Moranes pod ciosami ciągłemi serc, widząc, że połączenie jest niemożliwe, działali jednak oboje jednako z tą różnicą, że pan de Moranes chciał umrzeć, pani de Moranes zaś chciała się zabić.

XV.

Pan de Rosey wstawał bardzo rano, zwłaszcza kiedy był na wsi. Było to upodobanie Paryżanina i zarazem przezorność urzędnika. Leczył się powietrzem słonawem w tej dolinie la Canche, zanim odjeżdżał, by się znów w niezdrowych salach audjencyjnych zamykać.

Nie zadawalniał się przecież samym parkiem. Wychodził dalej w dolinę, rozmawiał z ludem okolicznym i przynosił zawsze z tych wycieczek rozmaite wrażenia, któremi się dzielił i rozbierał wraz z panią Bardin.

Tego rana przechadzka jego dłużej trwała. Pan de Rosey przechadzał się z Fryderykiem. Mówili o tym samym przedmiocie co wczoraj, a sędzia przez wybieg rodzicielskiej dyplomacji zmuszał syna do tego, bo sądził, że go uspokoi, przekona i prędzej skłoni do rezygnacji. Fryderyk zmęczony nie opierał się wcale, ani nie odpowiadał. Wszystko to, co ojciec mówił, było prawdą i dobrocią; to też poddawał się teraz bez oporu, jak ci co chcą, aby odpowiedzialność za nieszczęścia z nich na drugich spadła, pewni swej niewinności i przekonani, że w końcu pokonają los niesprawiedliwy.

Był blady — źle spał — był zmęczony długą przechadzką, ale czuł niewypowiedzianą rozkosz, że opierał się z ufnością na ręku ojca, tak jak ufał swej duszy. Stawał się dzieckiem po owej pierwszej walce sercowej.

Naraz w pewnej odległości od bramy głównej spostrzegli obaj mały powozik odkryty, zbliżający się szybko ku zakładowi.

— Oto jakaś ranna wizyta, — zauważył pan de Rosey.

Fryderyk mimowoli przyspieszył kroku pociągając za sobą ojca; miał jakąś nadzieję, po owem wysileniu rozpaczliwem.

— To wizyta do ciebie ojcze! — poszepnął.

— Być może! zdaje mi się nawet, że znam tego pana.

Doszli do bramy właśnie w chwili, gdy podróżny wysiadał z powozu i pytał się o panią Bardin.

W czasie gdy nowoprzybyłemu otwierano ciężki zamek, który jedynie w całym zakładzie trochę więzienie przypominał, pan de Rosey z synem zrównali się z nim.

Podróżny obrócił się, skłonił, zdawał się być zdziwionym, zarumienił się lekko i rzekł grzecznie, jak człowiek dobrze wychowany, który umie pokryć każde wzruszenie.

— Nie spodziewałem się, że będę miał szczęście spotkania się tutaj z panem de Rosey.

Pan de Rosey silił się, by sobie przypomnieć nazwisko nowoprzybyłego; odkłonił mu się poważnie.

Pan de Somery wymienił swoje nazwisko.

— A! to pan! — zawołał sędzia. — Mówiłem zaraz do Fryderyka, że to znajoma mi twarz, której nazwiska nie mogę sobie przypomnieć. Pan chcesz zwiedzić nasz zakład?

— Przypominam sobie, żeśmy się spotkali w Paryżu i rozprawialiśmy o kwestjach, które były powodem do zbudowania tego domu.

— Wiem, że pan się interesujesz myślą, której poświęciłem życie moje pozaurzędowe. Zdaje mi się, żeś pan już raz był tutaj.

— Tak panie, zaraz po założeniu tego zakładu.

— A to pan znajdziesz, spodziewam się, zmianę i postęp.

Tak rozmawiając weszli do parku. Pan de Somery zatrzymał się wahając. Odźwierny czekał na powtórzenie rozkazu zawołania pani Bardin, której obecność nie zdawała mu się potrzebną, skoro sam pan dyrektor był tutaj.

— Pozwól pan, abym ci służył za przewodnika, — rzekł grzecznie pan de Rosey.

Odźwierny słysząc to oddalił się.

Pan de Somery skłonił się, ale stał na miejscu.

Fryderyk chciał odejść, ale pan de Rosey zatrzymał go, aby go przedstawić.

Pan de Somery skłonił się młodemu człowiekowi, tenże odkłonił się uprzejmie i zwrócił się ku domowi.

— Czy nie chcesz nam towarzyszyć? — zapytał sędzia.

— Wybacz ojcze, ale czuję się nieco zmęczonym.

— A dobrze! idź wypocząć!... W jego wieku — mówił pan de Rosey z dobrocią, skoro się Fryderyk nieco oddalił — nie lubią zajmować się sprawą, która jest naszą ostatnią miłością w naszych latach.

— Czy syn pański jest cierpiącym? — zapytał pan de Somery, uderzony bladością Fryderyka.

— Cierpi oczywiście, ale mam nadzieję, że go uzdrowię.

Gdy pan de Rosey wskazał ręką na pawilon, od którego zwykle rozpoczynano zwiedzanie zakładu, pan de Somery poszepnął:

— Nie chciałbym nadużywać dobroci pana... widzę, że powracasz z dalekiej przechadzki.

— Ba! przyzwyczajonym do tego!

— Więc wyznam panu, że nie przyjechałem w celu li obejrzenia zakładu.

— A, prawda, pan znasz panią Bardin?

— Tak, panie.

— Co to za kobieta! wszak prawda? Bez niej nie byłbym nigdy doszedł do tych rezultatów, z których dumny jestem. Przecież pan ją znasz. Co za inteligencja! jakie serce! jakie poświęcenie się! Zasięgam rady we wszystkiem... Nie mam dla niej żadnych tajemnic nawet rodzinnych... a gdy panu mówiłem przed chwilą, że spodziewam się uleczyć syna, mogę panu wyznać, liczyłem na wszechmocną pomoc pani Bardin w tym względzie. Już wczoraj naradzaliśmy się długo wspólnie... Kocha mego syna jakby był jej własnym! Biedna kobieta! Pan ją znasz oddawna?

— Tak panie.

— Mnie się zdaje, że znam ją... od wieków, i że zawsze ją ceniłem i szanowałem!

Pan de Rosey mówił to z wylaniem, które odbiło się uśmiechem na ustach pana de Somery; jednakże zbladł jeszcze więcej; wszystkie nerwy w jego twarzy zadrżały, oczy przymknęły się olśnione.

— O! widzę, że jesteśmy rywalami — mówił sędzia z uśmiechem — ale sądzę, że wbrew zwyczajowi to współzawodnictwo zrobi nas przyjaciołmi.

Wyciągnął rękę do pana de Somery. Człowiek ów nieskazitelnej dystynkcji zawahał się, wysunął rękę, ale nie dotknął ręki pana de Rosey, tylko podnosząc swoją jakby z prośbą, rzekł poważnie:

— Proszę pana o chwilę poufnej rozmowy!

— Ale owszem, owszem.

Pan de Rosey zdziwiony wzruszeniem, którego pan de Somery nie ukrywał, wskazał na drzwi, a wyprzedzając gościa, z pospiechem zaprowadził go do swego biura.

Gdy weszli i gdy drzwi się za nimi zamknęły, pan de Somery padł na wskazane sobie krzesło blady, gładząc faworyty, szukając słowa, od którego ma zacząć.

Sędzia cierpliwy tak z obowiązku jak z charakteru, nie dziwił się temu pomięszaniu, był do tego przyzwyczajonym. Odgadywał wyznanie; zapewne drażliwe ze strony tego człowieka znanego ze swego szczęścia do kobiet. Nie było tu zbrodni, był zapewne błąd, jaka historja dziecka naturalnego, które zapewne w nędzę lub włóczęgę popadło, i „piękny“ pan de Somery przychodził w tym interesie do pani Bardin,

a nie śmiał odezwać się z tem samem zaufaniem do dyrektora zakładu, utworzonego w tym celu.

Pan de Rosey widział w całem obejściu niepewnem pana de Somery wyrzuty sumienia, na które nieraz napotykał i które go zawsze do pobłażliwości skłaniały.

— Słucham pana — rzekł łagodnie, jak gdyby mówił: „słucham cię przyjacielu".

Pan de Somery był nadto doświadczonym, aby się na tej grzeczności nie poznać; ośmielony zatem mówił:

— Wybacz pan, że poproszę nie o radę, bo pan z wdzięcznością dopomagasz każdemu do dobrego uczynku, ale o wybaczenie mi, że nie od razu udałem się do pana, którego doświadczenie i dobroć...

— O strzeż się pan, — przerwał sędzia z dobroduszną ironją, — zaczynasz od pochlebstwa, a ja nie wierzę w pochlebstwo. Ten wstęp wcale nie potrzebny pomiędzy nami. Powiedz mi po prostu o co idzie. Później uniewinnię pana, jeżeli tego będzie potrzeba.

Gdy pan de Somery jeszcze się wahał, pan de Rosey dodał z uśmiechem poufałym:

— Jestem pewien, że o kobietę tu chodzi.

— Tak, panie.

— Kobieta, którą zna pani Bardin, czy tak? A więc nie wahaj się pan! To co miałeś powiedzieć owej szlachetnej istocie, którą byłbyś może wprowadził w ambaras, powiedz pan odważnie uczciwemu człowiekowi, doświadczonemu, gotowemu do okazania ci pomocy. Jeżeli pan będziesz chciał, przywołamy później do rady wspólną naszą przyjaciółkę. Pani Bardin byłaby mnie z pewnością też tem zaufaniem zaszczyciła po rozmowie z panem... Ja jej jej część zostawiam... A więc idzie tutaj o...

Pan de Somery pobladł bardzo i wymówił z trudnością:

— O panią de Moranes.

Usłyszawszy to nazwisko, pan de Rosey wyprostował się zdziwiony i rzekł głosem stłumionym:

— Jeszcze zawsze to nazwisko!

— Co pan przez to chcesz powiedzieć?

— Ah mój Boże! zaufanie za zaufanie! Od miesiąca, od dwóch tygodni zwłaszcza, wczoraj, dziś rano, w tej chwili na owym spacerze z moim synem, ciągle to imię powtarza się co minutę na ustach naszych. Teraz pan wiesz, czemu Fryderyk cierpi. W istocie cierpi, a to właśnie owe nazwisko fatalne jest nieszczęściem jego życia.

Pan de Somery cofnął się zdziwiony niepomiernie.

— Jak to? owo projektowane małżeństwo!... czyż byłby to syn pański?

— On kocha pannę de Moranes, a my nie chcemy prosić o jej rękę; tak panie.

Pan de Somery otarł pot z czoła.

— Dziwny przypadek, — poszepnął.

— Który panu mówić nie pozwala? — zapytał sędzia nieco surowo.

Spojrzał na pana de Somery badawczo.

Ten uczuł ów wzrok przenikliwy, ale właśnie obudziło to w nim odwagę. W tym nowym pojedynku chciał także zostać panem siebie.

— Już nie waham się panie, — rzekł stanowczo, — bo to właśnie dlatego, aby to małżeństwo doprowadzić do skutku, przychodzę do pana po radę.

Pan de Rosey zatrwożył się na prawdę. Chciał go przynajmniej przestrzedz.

— Ale... w takim razie powinienem się usunąć może — rzekł. — Jestem za nadto interesowany w tej sprawie, abym mógł sądzić bezstronnie.

— Nie, panie, — przerwał gorąco pan de Somery. — Potrzeba mi całej sprawiedliwości sędziego, ale także całej czułości ojca.

Nastało krótkie milczemie.

— A więc — zapytał pan de Rosey więcej ze smutkiem niż surowością — pan jesteś bohaterem tego... skandalu?

— Tak, panie.

— I pani de Moranes nie umarła?

— Nie, panie.

— Tem lepiej, bo w takim razie widzę, że małżeństwo między synem moim, a panną de Moranes jest niemożliwem.

— Dla czego?

— Jakto? chcesz pan, aby mój syn żenił się z córką kobiety, która od dwunastu lat opuściła dom mężowski, z córką kochanki pańskiej?

Pan de Somery chciał zaprzeczyć.

— Jakto! czy nie jest kochanką pana?... czy nigdy nią nie była?

Pan de Somery zawahał się.

— Jeżelibym panu odpowiedział, że nie, czy uwierzyłbyś mi pan — rzekł, poruszając przecząco głową — sądziłbyś pan, że uciekam się do kłamstwa dozwolonego człowiekowi honorowemu. Wypadki zresztą nadają mi tu rolę, której zaprzeczyć nie mogę, przynajmniej w obec opinii. A jednak!...

— O! nie idzie mi o opinię ludzką, — odparł pan de Rosey — chociaż, co prawda, trzeba zważać na nią; nie chcę obciążać sumienia syna mego, ani wystawiać go na jakibądź układ z panem.

— Sumienie syna pańskiego nie może surowiej mnie sądzić niż pan, i gdy panu powiem, że pani de Moranes była ofiarą fatalizmu?...

— Nie ma fatalizmu — odrzekł surowo pan de Rosey. — Czasem słyszę ten wyraz na audiencji. Adwokaci posługują się nim. Przebrzmiewa w uszach moich, nie irytując mnie i uderza o postać „Sprawiedliwego", wiszącego na ścianie w sali przysięgłych. Jest wolna i nieprzymuszona wola: nie ma fatalizmu!

— Niech i tak będzie! w takim razie sam na siebie biorę całą odpowiedzialność.

— Przyznajesz pan jednak, że pani de Moranes była pańską wspólniczką!

— Przyjęła na siebie hańbę wiarołomstwa, które było pozornem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

ZGON CARA.

Dnia 13. marca b. r. o godzinie trzy kwadranse na drugą spełniony został w Petersburgu zamach na życie cara. W chwili powrotu jego z przeglądu warty rzucono bombę pod karetę carską, która ją uszkodziła, nie tknąwszy cara zupełnie. Car wyskoczył, i stanął na trotuarze, a cała świta rzuciła się ku niemu. W tej chwili pod jego nogi padła druga bomba, która eksplodując zgruchotała mu nogi i pokaleczyła go najokropniej. We dwie godziny później car wyzionął ducha.

WESELE U MALAJÓW.

Pewien korespondent z Batawii podaje następujący opis obrzędów ślubnych Malajów, których był naocznym świadkiem: Na zaproszenie udaliśmy się (europejczycy) wcześnie rano do Kampongu, t. j. wsi. Panna młoda stroiła się właśnie w jednej z chat. Po chwili doszedł nas przygłuszony dźwięk jakiejś dziwnej muzyki i ujrzeliśmy zbliżające się ku nam zbitym tłumem grono kobiet, które wiodły w pośrodku pannę młodą. Ta ostatnia popychana była raczej przez towarzyszki, niż szła sama. Przedstawiała też osobliwszy widok; twarz jej bowiem i górna część ciała była prawie niewidzialna, ponieważ przysłoniono ją rodzajem skrzynki, wskutek czego także chód panny młodej był ciężki i niezgrabny. Orszak zatrzymał się przed progiem mieszkania przyszłego męża, i tu dopiero zdjęto z niej ową skrzynkę, przyczem się pokazało, że dziewczyna, jak na Malajkę, była wcale nieszpetna. Odszeptawszy modlitwę, pozwoliła ona jednej z towarzyszek rozpiąć nad sobą duży parasol, podczas gdy inna towarzyszka brała garściami żółty ryż, pomięszany z drobnemi monetami i obsypywała tem ów parasol. W końcu zaprowadzono pannę młodą do wnętrza mieszkania, gdzie zajęła krzesło na podwyższeniu i pod baldachimem, bogato przyozdobionym złotem i połyskującemi kamieniami. Baldachim ten razem z szatami weselnemi wypożyczany bywa przy każdej podobnej sposobności na czas obchodu. Panna młoda siedzieć musi pod nim, dopóki nie przyjdzie po nią pan młody i przez ten czas formalnie znajduje się „na wystawie“ dla wszelkich ciekawych oczu. Strój jej zresztą był wcale malowniczy. Na głowie miała rodzaj dyademu, na stopę blisko wysokiego, a utworzonego z samych długich szpilek, wysadzanych kosztownemi kamieniami. Szyję i piersi osłaniała duża blacha, niby pancerz. Ramiona i palce formalnie obciążone obróżkami złotemi i pierścieniami; trzewiki tkane złotem i srebrem; suknia z czerwonego tarlatanu, złotem haftowana. Naraz ozwały się głosy: „Pan młody nie przyjdzie! pan młody chory!“ — „Nie, on nie chory przecie! — odpowiadały inne kobiety — ale matka jego nie pozwala na ślub, i dla tego przyjść nie może.“ Głosy te oczywiście musiała słyszeć biedna „wystawiona,“ po chwili też rozpłakała się na dobre, ale z miejsca się ruszyć nie mogła, gdyż ceremoniał weselny nie pozwala na to. Żałowaliśmy jej szczerze w tej chwili, ale widocznie była to tylko próba czułości, gdyż nie długo trwało, kiedy doszedł nas dziki wrzask pomięszany z głuchym odgłosem wspomnionej już wyżej osobliwszej muzyki. Po izbie rozległ się szept: „Już idzie, już idzie“ — dwoje dziewcząt przystąpiło do panny młodej i otarło jej łzy z oczu i okrasiło jej twarz czerwonym barwikiem. Za chwilę wśród najokropniejszej wrzawy, okrzyków wojennych i dźwięków muzyki pojawił się pan młody, otoczony tłumem mężczyzn i podobnie popychany, jak panna młoda przez kobiety. U progu oprócz ceremonii z parasolem i ryżem musiał jeszcze rozbić nogą dzbanek i jaje ustawione w jego szyjce, a to jednem stąpieniem. Następnie wśród nieustających wrzasków usiadł na podwyższeniu obok panny młodej, a jedna z dziewcząt, przyklęknąwszy, poruszała przez chwilę wachlarzem przed młodą parą. Na tem zakończyła się właściwa ceremonia ślubna; państwo młodzi zarówno jak wszyscy obecni udali się potem wszystkiem do zastawionych już stołów.

Z WIEKIEM BIELEJE.

Zmarły w tych dniach słynny fabrykant czekolady Menier znalazł się raz w wielkim kłopocie...

Oto zwiedzając wielkie składy słynnego swego wyrobu, spostrzegł iż bardzo znaczny zapas czekolady, z powodu dłuższego przebywania na składzie zmienił barwę.

Strata była widoczną — przepadało trzy do czterech miljonów franków a sposobu ratunku żadnego.

Nagle zgłasza się jeden z komisantów Meniera i oświadcza, iż ma pewien projekt, za który przecież żąda 100,000 fr.

Po targu Menier daje mu tę sumę...

Komisant daje wówczas pryncypałowi następującą radę: Dodaj pan do swoich ogłoszeń następujące słowa: „czekolada Meniera jest jedyną, która z wiekiem bieleje.“

Dictum — factum.

Menier usłuchał rady i zrobił takie ogłoszenie, poczem popyt za białą czekoladą wzmógł się szalenie.

CÓRKA PUŁKU.

W tych dniach zmarła w Passaic, w Stanach Zjednoczonych, pani Mary Cowdrey, córka b. adjutanta 7-go pułku.

Ojciec jej, zmarły w roku 1850, pozostawił czteroletnią córeczkę bez żadnych środków do utrzymania.

Wówczas to na wniosek swego pułkownika siódmy pułk postanowił, iż każdy jego członek składać będzie rocznie po dolarze na utrzymanie sieroty do czasu dojścia jej do pełnoletności lub pójścia za mąż...

W ten sposób rocznie zbierała się kwota 700 dolarów, co było dostatecznem na wychowanie i utrzymanie małej.

Ówczesny pułkownik wziął ją do swego domu, a gdy ten ustąpił, następca jego również zaopiekował się Marją córką pułku.

Nareszcie, gdy wychodziła za mąż, siódmy pułk ofiarował jej 2,500 dolarów posagu.



Z następnym numerem kończy się prenumerata kwartalna na „*Świat powieściowy.*“ Dla uniknięcia zwłok w przesyłce upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty.

Prenumerata za drugi kwartał . . . 2 złr.
„ do końca roku . . . 6 złr.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.